

Ni to, ni owo

Teatr Ludowy w Krakowie

Disneyland

wg powieści Stanisława Dygata

adapt., reż., oprac. muz.

Jarosław Tumidajski

scenogr., wideo, światła

Mirek Kaczmarek

choreogr. Anka Jankowska

premiery 21 listopada 2009

Michał Mizera

Jarosław Tumidajski wygrzebał z lamusa zapomnianą dziś powieść Stanisława Dygata *Disneyland* (zapomnianą podobnie jak wybitny film Janusza Morgensterna *Jowita*, nakręcony na jej podstawie w 1967 roku). Wykorzystał historię głównego bohatera Marka Arensa (Michał Czernecki), architekta i sportowca, byłego boksera, obecnie odnoszącego sukcesy lekkoatlety, by przedstawić portret pokolenia trzydziślatków, swoich (i większości aktorów występujących w przedstawieniu) rówieśników. Okazuje się, że powieść Dygata zaskakująco dobrze opisuje dzisiejsze zagubienie młodych ludzi, którzy właśnie przekroczyli społecznie usankcjonowaną barierę „bycia dorosłym”, a jej język trafia we współczesną wrażliwość odbiorców. Kilka przejmujących, wręcz pięknych scen (pomogło bardzo dobre opracowanie muzyczne) zabrzmiało w tym spektaklu bardzo autentycznie, dojmująco, przesywająco. Bohater szuka miłości życia i uparcie pragnie „zaczynać od nowa”, zmuszając się do stosowania coraz wyższych standardów moralnych. Rozziew między

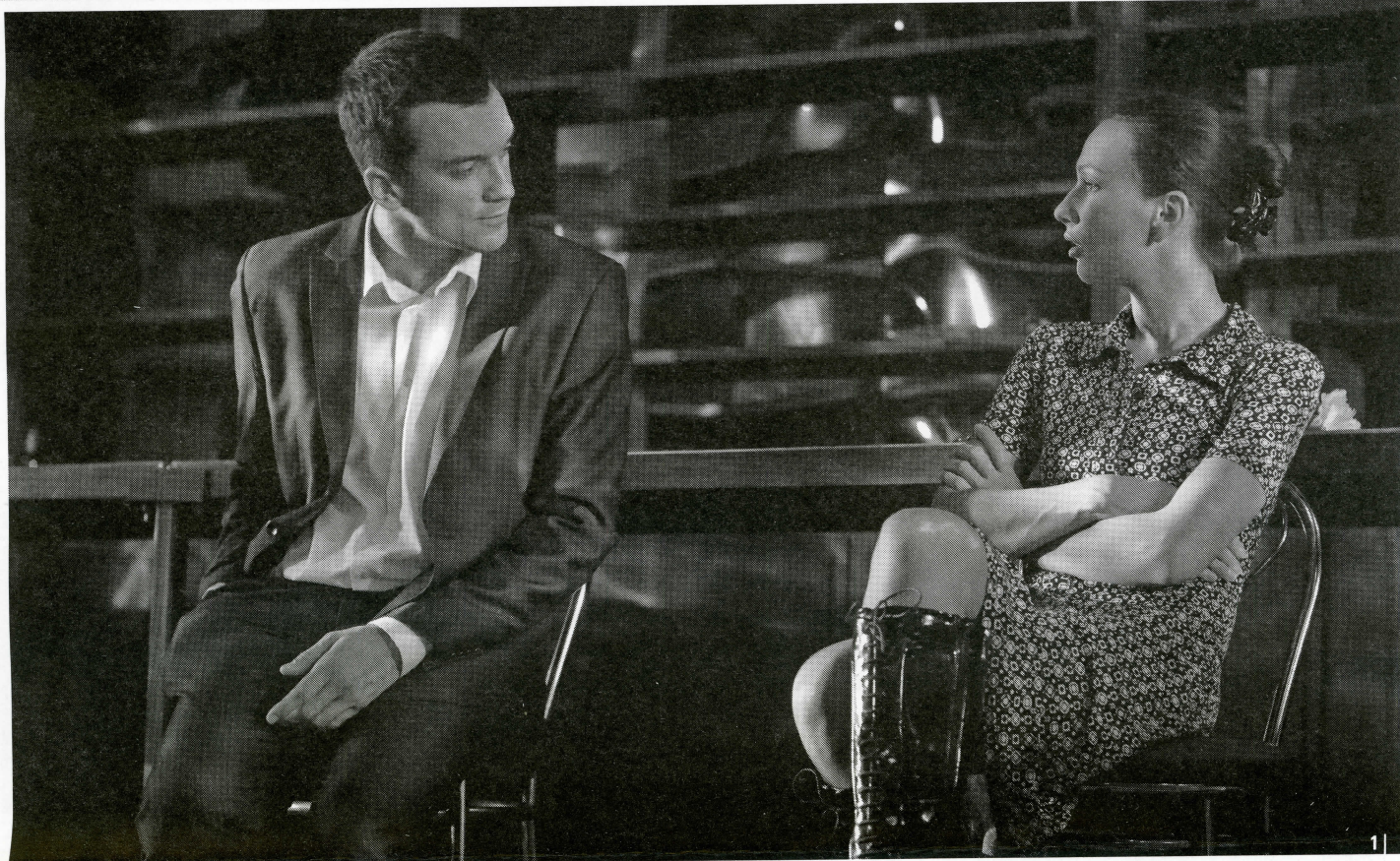
„jest” i „powinno być” niejednego doprowadził do obłędu. „Nie mogę znieść tego ustawicznego braku wierności wobec wszystkich i wszystkiego, jest to bowiem brak wierności wobec siebie” – mówi bohater. Ale naprawić własne życie nie jest łatwo, to nie kwestia dodrukowania erraty do własnej biografii. A ryzyko porażki jest ogromne, często skutek takiego programu naprawczego bywa przeciwny wobec zamierzonego. I losy Marka Arensa są na to dowodem.

Potrzeba i poszukiwanie „prawdziwej” miłości stopniowo wciągają Marka w pułapkę iluzji uczucia wywołanego zapatrzeniem się w oczy ledwo poznanej na balu maskowym dziewczyny (tajemniczej Jowity), w pułapkę zobowiązań „na zawsze” wobec Agnieszki, głównej kandydatki na partnerkę życia, wreszcie w pułapkę wybuchu namiętności do Heleny, żony swojego trenera. Wobec tego węzła powinności, naturalnych odruchów, fizjologii, porywów serca, nakazów sumienia i rozumu Marek stoi bezbronny i nagi. Także w sensie dosłownym. W scenach łóżkowych reżyser i odtwórca głównej roli nie uciekają się do półśrodków, pokazują je odważnie, bez hipokryzji i minoderii. To dzięki aktorskiej odwadze Czerneckiego, w mniejszym stopniu jego bardziej skrępowanych koleżanek, nagość w przedstawieniu Tumidajskiego szybko staje się czymś zrozumiałym i naturalnym. Aktorzy tworzą niesłychanie bliski i intymny przekaz, tak skrętnie chowany przez nas za drzwiami z napisem „prywatne”. Bardzo werystycznie pokazana scena seksu szybko jednak wytraca tę misternie budowaną atmosferę intymności. Z jednej strony kontekst nie pozostawia wątpliwości, że chodzi o udany, spełniony seks, z drugiej – na scenie widać jedynie sekwencję wyćwiczonych układów, wyraźnie wciąż krępujących dla aktorów, w amatorskim, tandetnym oświetleniu. Ale już moment *post coitum* zagrany został mistrzowsko: zwyczajnie,

domowo, kameralnie, z poczuciem spełnienia, ale i owym smutkiem, o którym pisał Arystoteles w słynnej frazie.

Na tle odtwórcy głównej roli nieco słabiej wypada reszta obsady. W Agnieszce (Patrycja Durska) za mało tej podwójnej gry, że to ona była poznaną na balu Jowitą. W Helenie (gościnnie Agnieszka Korzeniowska) za mało z kolei tego ambiwalentnego stanu dojrzałej, pięknej kobiety, która raz jeszcze pragnie poczuć się dziewczyną. A w Dorocie (Karolina Stefańska) za mało karykatury studentki AWF-u, świetnej kumpeli, prostej dziewczyny „od do”, która nie zawraca sobie głowy myśleniem. Niemal pozbawiona racji scenicznego bytu jest postać najbliższego przyjaciela, Michała – grający go Marcin Stec nie dostał zbyt dużego materiału do zbudowania ciekawej roli. Nawet Tomasz Schimscheiner miał kłopoty z portretem na pozór bezradnego, gapowatego trenera Księżaka. Intrygujący jest za to z początku podstawowy pomysł scenograficzny, polegający na zbudowaniu stadionowej bieżni, wchodzącej ze sceny na widownię. Szkoda, że ten dający się ładnie metaforyzować koncept (bieg życia, błędne koło, metaforyka startu i mety, także w antycznym znaczeniu, czyli punktu zwrotu) posłużył ledwie w kilku scenach treningu, nie został wyeksploatowany do końca, szybko się opatrzył, a nawet zaczął przeszkadzać.

Wygląda na to, że najbardziej w powieści Dygata pociąga Tumidajskiego problem niedojrzałości pokolenia dzisiejszych trzydziślatków. Ale autor *Disneylandu* lekcję Witolda Gombrowicza ma już za sobą, zaproponował portret bohatera świadomego procesu dojrzewania, sam fakt formowania siebie samego nie jest przecież dla niego przedmiotem refleksji. Reżyser zwrócił uwagę, że Dorota czytuje po wielokroć przygody Piotrusia Pana i powtarza bohaterowi, że jesteśmy niczym on: „ni to, ni owo”, zawieszeni „między”. W programie teatralnym Tumidajski (bo program do przedstawienia w adaptacji, reżyserii i opracowaniu muzycznym Jarosława Tumidajskiego zredagował Jarosław Tumidajski) kamufluje wskazówkę: „I'll be always Pe-



ter Pan in my heart”. Do tego pułapu dociera ta całkiem udana inscenizacja.

Tymczasem powieść Dygata oferowała znacznie więcej. Z jednej strony to tekst na wskroś realistyczny, z drugiej zaś posługuje się konwencją baśniową i wielopiętrową symboliką, podsuwając tym samym określone wzorce (osobowe, sytuacyjne, moralne), dające się wpisać w niemal każdą biografię. Trudno widzom uznać za własne coś, co pozbawione paraboli i alegorii jest zaledwie portretem części jednego pokolenia. Owszem, historia ta dzieje się w konkretnym mieście, w konkretnych mieszkaniach, klubach. Miejsca, które przestały istnieć, wciąż funkcjonują w pamięci mieszkańców Krakowa. Reżyser mógł więc liczyć na to, że widzowie nowohuckiego Teatru Ludowego uznają prezentowaną historię za „swoją”, a przynajmniej za prawdopodobną, za dziejącą się po sąsiedzku, za ścianą. Ale by mogła zostać uznana za własną do końca, by stała się, jak każda bajka (a taką także jest *Disneyland*, tytuł nie pozostawia wątpliwości), opowieścią w jakiejś mierze uniwersalną, trzeba zrealizować precyzyjnie wymyśloną przez autora powieści konstrukcję.

Na czym polega więc potknięcie adaptatora? Przecież nie na takiej drobnostce, jak zrealizowana w formie projekcji wyświetlanej na ekranie niejasna finałowa scena z awanturą w lokalu. Nie wiemy, z jakiego powodu wybucha awantura, kogo i dlaczego zabija Arens, nie dowiemy się, że motywacją do tego czynu była (ostatecznie przez to obnażona i zdyskwalifikowana) chęć moralnej odnowy, wyprostowania wygiętych kolein życia. Porażka adaptatora polega na decyzji o odrzuceniu świadomie podsuwanych przez narratora odwołań intertekstualnych. Przecież nie o Piotrusiu Panie pisał Dygat, a o współczesnym księciu Dymitrze Iwanowiczu Niechludowie, bohaterze powieści Lwa Tołstoja *Zmartwychwstanie!* To w tym utworze należy szukać klucza do *Disneylandu*, a nie, jak znów podpowiada program, w humorystyczno-towarzyskich opiniach Tadeusza Konwickiego o Dygacie, tekście Janiny Katz z 1968 roku (sic!), zacierającym właściwe ambicje autora, czy w zapiskach z internetowych forów poświęconych lokalowi „Feniks”. Te cytaty potwierdzają jedynie interwencyjno-sentymentalne założenia reżysera. W rzeczywistości to postawa Niechludowa – jego samoszukiwania, uspokajane i wybuchające potem ze zdwojoną siłą wyrzuty sumienia, zagłuszane przerywaną co rusz odpowiedzialnością za krzywdę wyrządzoną wiejskiej

dziewczynie Masłowej, a to na świat, a to na otoczenie, a to na błędy młodości, ale jednak podejmująca rachunek sumienia, żal za grzechy, mocne postanowienie poprawy i zadośćuczynienie bliźniemu – postawa tak podziwiana przez Arensa w powieści Dygata, jest dla niego drogowskazem, zgubnym i niszczącym, ale silnym i pociągającym! A jeszcze te wprost podawane odniesienia do Molière’a (zapewne *Don Juan*), mitologii greckiej (te wszystkie obrazy z motywami antycznymi, na których spoczywa wzrok bohatera powieści w krytycznych momentach), Biblii... – toż to gotowce teatralne, pełne bogatych metafor i rozwiązań scenicznych!

W efekcie na scenie pozostaje wyalienowany, skupiony na sobie i swoich dylematach, szukający punktu oparcia, niezłomnych zasad, miłości bohater. Tak, zapewne *porte parole* dzisiejszych trzydziślatków. Nieświadom, że jego literacki pierwowzór odwołuje się do daleko bogatszej i głębszej summy ludzkiego doświadczenia, do daleko bardziej przerażających i mrocznych lęków, które tak dobrze opisali Rosjanie, z Dostojewskim i Tołstojem na czele. ■

Michał Mizera – doktorant europeistyki UJ, dyrektor programowy Festiwalu „Gorzkie Żale”; współpracuje z Instytutem Badań Interdyscyplinarnych „Artes Liberales” UW oraz Krajowym Funduszem na rzecz Dzieci.

1 | Michał Czernecki (Marek Arens), Patrycja Durska (Agnieszka); fot. materiały promocyjne Teatru Ludowego w Krakowie